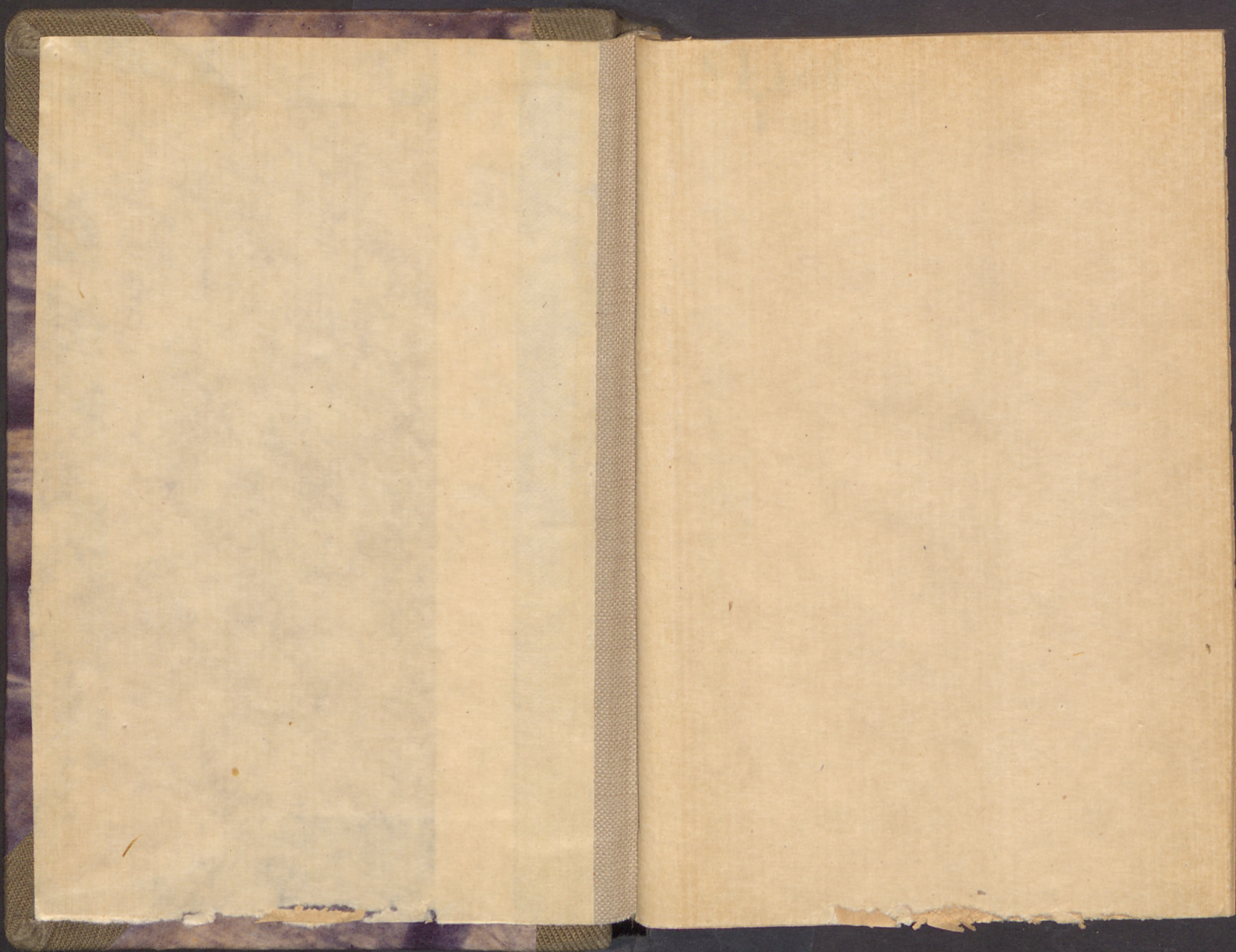


Biblioteka
UMK
Toruń

81424

Wzrostac na miejsce



81424

I

81424

STANISŁAW
WYSPIAŃSKI

ODBITO W DRUKARNI WŁAD. TEODORCZUKA
W KRAKOWIE - NAKŁADEM WYDAWNICTW „NA-
PRZODU“ W KRAKOWIE, „GŁOSU“ WE LWOWIE
„ROBOTNIKA ŚLĄSKIEGO“ W CIESZYNIE - 1908

NAPISAŁ EMIL HAECKER

ST. WYSPIAŃSKI
WYPIAŃSKI

81. 424



K. 1511/51



ST. WYSPIAŃSKI

PORTRET WŁASNY

Ze zgonem Stanisława Wyspiańskiego utraciła Polska największego swego poetę współczesnego, genialnego wieszczą, jakiego od czasu Mickiewicza i Słowackiego nie miała. Dzieło jego żywota znaczy nowy okres duchowego życia Polski, którem wstrząsnął do głębi, nowe drogi ukazując myśli polskiej. Był on dla nas więcej niż poetą i malarzem, był geniuszem, w którym się wcieliła myśl polska naszego czasu, wieszczem narodowym, który naszemu pokoleniu rzucił wielkie, wyzwalające słowo, co rozbrzmiało po całej Polsce jak rozkaz, jak dzwon wołający żywych: „Pójdźcie ze mną!... Narodzie, wróżę, zmartwychwstaniesz!”

„Idę, by walić młotem!” Tak pojmował on swoje posłannictwo na tej ziemi mogił, łez i krwi, na którą zstąpił ze świata ideologii, pozostawiając nam w spuściznie po romantycznej poezji polskiej z pierwszej połowy XIX wieku.

Idę z daleka, nie wiem z raju czyli z piekła.
Błyskawic gradem
drży ziemia, z której pochodzę,
we krwi brodząc,
nazywam się Konradem.

Rozpacz za mną się wlekle
głową węzów, okropnem widziałem,
wyjąc: Zemsta.

Byłem gwiazdą,
gwiazdą stałą, niebios niewolnicą.
Tam hen, ujęty łańcuchem,
z wyprężonemi ramionami,
uwięzłem duchem,
gdzie gwiazd iskrzące skorpiony
świecą
w przestrzeni wieczystych głusz,
gdzie gwiazda bogów i dusz — —
i spadłem.
Tę ziemię ukochałem
szalem
i w żądzy palącej posiadałem
ciałem! —
Jestem w każdym człowieku, żyję w każdym
sercu.

Po kwietnym łąk kobiercu,
po skalnych paściach, krzesanicach
jestem niesion skrzydłami
z płomieniem w licach.
Ogień, płomienie w piersi! —

Na grunt rzeczywistości współczesnej
zstąpił z unoszącego się nad nią obłoku
romantycznego, jako Konrad mickiewiczowski,
ale Konrad współczesny, co przeciwstawi się
temu światu duchowemu, z którego wyszedł,
a który nie odpowiada już zmienionej
rzeczywistości i ciąży nad nią jak zmora
fałszu.

Jak każdemu żyjącemu stworzeniu konieczne jest powietrze do oddechania, tak każde społeczeństwo oddecha atmosferą duchową, którą samo wprawdzie wytwarza, która jednak staje się nieodzownym czynnikiem jego rozwoju; karmi się nią, jeżeli to atmosfera zdrowa, zgodna z jego potrzebami i wewnętrznymi tendencjami rozwojowymi; dusi się i szamoce w omdleniu, jeżeli tą jego atmosferą duchową jest kłam.

Atmosferę duchową, w której żyło nasze pokolenie, stanowiła spuścizna doby romantycznej z przed pół wieku.

Patrzcie! Oto tłum skłębionych ciał na olbrzymim płótnie obrazu. Wre bój. Grunwald. Zwycięski Wiold przełamał szyki krzyżackie. Wali się w proch potęga zakonu. Pogrom krzyżactwa — zwycięstwo Polski. A oto

na drugim płótnie u stóp purpurowego tronu, u stóp króla polskiego klęczy księżę pruski i składa mu hołd na rynku krakowskim. A na trzecim obrazie Kościuszko wraca w tryumfie z pobojowiska raławickiego, ze zwycięstwa. Tak obrazował nam dzieje Polski mistrz Matejko i tak przedstawione można je oglądać w Muzeum Narodowym w Sukiennicach. Widział on przeszłość naszą nie przez pryzmat tego, co jest dziś, lecz przez różowe okno dawnej świetności i chwały. Wybierał momenty wyłącznie jasne i piękne, pełne potęgi i tryumfu, niezmacone goryczą klęski lub zarodkami rozkładu i upadku. Że Grunwald dawno już został przekreślony rozbiorem Polski, że po Raławicach nastąpiły Maciejowice, że dziś Prusak nie składa hołdu Polsce, klęcząc na rynku krakowskim, lecz pancerną pięścią ścisła obrożę nałożoną na kark całej dzielnicy Polski — tego nie widzimy wcale w dziejowym świecie Matejki. Raz tylko utrwalił na płótnie moment dziejowy smutnej pamięci, ów sejm, który rozbiór Polski podpisał, ale i na tym nawet obrazie jaśniej jeszcze wśród ruiny i upadku punkt

światłany: Rejtan. Zresztą nigdy Matejko w legendzie dziejowej, którą nam tworzył, nie dotykał niczego, co by nam nędzę naszego dzisiejszego żywota przed oczy przynieść mogło, lecz obrazował wyłącznie tylko to, co by nas przenieść mogło w atmosferę potęgi i gloryi. Więc król Zygmunt funduje wielki dzwon wawelski, więc płomienne słowo głosi Skarga, rzucając klejnoty do skarbca naszego języka, więc Sobieski ocala pod Wiedniem cywilizację Europy, a nawet w momencie pogromu zupełnego jeszcze w aureoli blasków zahodzącego słońca Polski, w krwawej zorzcy łun pożarnych wróży Polsce Wernyhora zmartwychwstanie!...

Oto atmosfera ideowa, w której nas hodowano. Cała nasza sztuka, cała nasza poezja była nią przesiąknięta. Że nasi wielcy romantycy w takim żyli świecie ideowym, to zupełnie zrozumiąle: zbyt świeże dla nich były to dzieje, ażeby mogli sobie uświadomić, że coś się w ich oczach na zawsze skończyło, a to, co się zrodzi, będzie czemś zupełnie nowem. Przebłyskuje i u nich wprawdzie czasem ta świadomość, ale nie zabarwia ona ca-

łokształtu ich spuścizny duchowej, którą karmiły się pokolenia następne przez pół wieku. Życie się tymczasem zmieniało, szybko szło naprzód, rzeczywistość zmieniła się do niepoznanania, odbiegła daleko od ideałów i haseł romantycznych. Między ideałami, którymi się pokolenia nowe karmiły, a życiem rzeczywistym, ujawnia się rozdźwięk; ideał kłamał życiu, życie ideałowi, który wskutek tego, jak moneta nigdy wartościowa, a obecnie wycofana z obiegu, stracił wartość, stał się fałszem, pustym frazesem odświętnym, rażąco sprzecznym z trudem dnia powszedniego, frazesem pozornie nietykalnym jako tradycyjna świętość narodowa, a do niczego nie obowiązującym. „Z szlachtą polską, polski lud“, deklamowano nam oficjalnie, a życie szyderczo śmiało się z tego frazesu. Nad nędzą naszego żywota rozbrzmiewały zamaszyste, a jak fałszywe dźwięki poloneza: „Cieszmy się bracia nadzieją, że nam wrócą dawne czasy, że nam jeszcze zajaśnieją karabele, słuckie pasy...“ Cała ta ideologia, nie wyrosła z życia, które poszło odmiennymi torami, nie przystosowana doń zupełnie, stała mu

się obcą. Mesyaniczna idea stała się fetyszem bez znaczenia, o którym wiele gadano, ale o który w czynach, w polityce, bynajmniej się nie troszczono; „posłannictwo Polski“, „archanioły, które zlecą z ognistymi mieczami odbudować Polskę“, „Polska Chrystusem narodów“, były to frazesy „święte“, od parady, a nie obowiązujące bynajmniej nikogo i w niczem, a rozgrzeszające jeno lekkie sumienia, godzące się w życiu najspokojniej w świecie z rolami „zjadaczy chleba“. W życiu duchowym narodu powstała bezpłodna jałowość, czczy pustka, po której błąkały się upiory przeszłości, zmory niemocy. Epigoni romantyzmu, jedni w formie, którą do niezwykłego kunsztu doprowadzili, nie mieli społeczeństwu nic nowego do powiedzenia, lecz siebie i społeczeństwo wciąż karmili okruchami spuścizny po dobie romantycznej, stanowiącemi jaskrawy kontrast z pulsującym życiem. Drudzy, jak Sienkiewicz, „krzepili ducha“ fałszywymi mirażami przeszłości, w których na objawy zgnilizny i rozkładu, wieszczące upadek, rzucali zasłonę piękną.

Współczesne pokolenie odczuło wreszcie

ten rozdźwięk i w zмирzchu dawnych bogów gorączkowo rzuciło się do poszukiwania nowych. Szukano nowych dróg, nowych idei. Ale błędzono po ciemku i wyczekiwanie szarpało niepokojem dusze krwawiące coraz nowymi zawodami. Wyczekiwano proroka, któryby jak słup ognisty stanął na czele pochodu myśli narodowej. Zjawiały się też na widnokręgu życia umysłowego kolejno różne nowe bogi, dokoła których odrazu, gorączkowo skupiało się grono łaknących nowej prawdy czcicieli, ale rychło bogi te okazywały się bożyszczami: zjawiali się nowi prorocy, ale rychło okazywali się fałszywymi prorokami i znikali, pozostawiając u zawiedzionych prozelitów przykre uczucie goryczy rozczarowania. Próbowano się i odwrócić od frazesów, które się przejadły, rzucono się ku tematом ogólnoludzkim, ku zagadnieniom życia indywidualnego, nie społecznego, ku problemom, które mogą wypełnić życie duchowe społeczeństw szczęśliwszych, nie trawionych troską dnia powszedniego, nie niepokoionych paląciami zagadnieniami nędzy bytu narodowego i społecznego. Chwilowo zapanowała w na-

szym świecie literatury i sztuki przybyszowszczyzna. Tłumnie podażyła za Przybyszewskim młoda Polska literacka. Ale szał indywidualistyczno-nadczłowieczy, erotyczno-dekadenski, nie mógł się stać treścią duchowego życia naszego narodu. Kwiat cieplarniany, który soków swych nie ssał z pełni życia narodowego, rychło przekwitł, pozostawiając uczucie nowego zawodu i powracającej pustki. Nie brakło wprawdzie zwiastunów nowej literatury. Tworzyli już Sieroszewski i Żeromski, którzy dawali wyraz duszy nowej generacji polskiej. Ale czekano jeszcze tego, który miał wyrzec wielkie słowo, dać wielką, potężną syntezę naszego współczesnego jestestwa.

I oto zjawił się uczeń Matejki, Stanisław Wyspiański. W powszechnej ruinie bożyszcz literackich, na rubieży dwóch stuleci, pojawił się niespodzianie, a jednak jak ktoś znany, spodziewany, ktoś, którego jeszcze wczora, niby we śnie, niby w marze przeczuwaliśmy, wyglądaliśmy.... Jak biblijny Mojżesz w pustyni uderzeniem laski z głazu wyzwolił bijące strumienie, tak Wyspiański swem „Weselem“ uderzył

w serca, że wytrysły z nich utajone w głębi,
a wyzwoleone jego słowem zdroje i pier-
chły zmyry i nad horyzontem duchowym
Polski zajaśniała pochodnia, co

świeci i razem spala
i ciepła razem niesie dar
i pożarami w gruz obala,
rozjaśnia, ale niszczy razem;
ogniem żyjącym zabić zdolna;
płonąca jest tą żywiołową siłą,
którą posiada dusza wolna.

Wyspiański wyczuł „farbowany fałsz“
panującej ideologii, wyczuł, że

tak się w każdym z nas coś burzy,
tak się w każdym z nas coś zbiera,
że czasami dech zapiera,

zrozumiał, że

..... w całej polskiej naturze
przemiana!....

Pokazał społeczeństwu przeszłość przez
pryzmat tego, co jest. W przeciwieństwie
do ideologii romantycznej ukazał nam
Polskę „tak, jak ją widzimy współcześnie
dokoła“. Oczyścił pole z gruzów przeszło-

ści pod budowę Polski nowej. Na wielki
sąd zawezwał wszystkie postaci i symbole
romantycznej ideologii i zdruzgotał je po-
tężnym ramieniem. Odwrócić wzrok na-
rodu od tego, co się skończyło i bezpo-
wrotnie minęło, odwrócić twarze od gro-
bowców ku przyszłości, tworzyć życie
nowe! Temi hasłami sięgnął do głębi współ-
czesnego życia narodowego, „chwycił za
trzewia i zatargał“. To stanowi jego epo-
kowe znaczenie i jego wielkość.

Od pierwszej młodości rósł Stanisław
Wyspiański w atmosferze sztuki i dziejów,
która stała się tłem całej jego twórczości.
Urodził się w Krakowie w maju 1869 r.
jako syn artysty-rzeźbiarza, Franciszka
Wyspiańskiego, który miał pracownię w sta-
rożytnym domu Długosza u stóp Wawelu.
Od dzieciństwa miał zatem przed oczyma
ten skarbiec dziejów Polski i wchłonał go
w całości w swą wyobraźnię. A w domu,
w pracowni ojca, uzupełniał to podłoże
jego fantazyi poczet biustów królów pol-
skich, wyrzeźbionych przez ojca. Te same
wpływy artystyczne, związane z dziejową



przeszłością Polski, działały na jego umysł w dalszym ciągu i później, kiedy po ukończeniu gimnazjum św. Anny, studiując na uniwersytecie jagiellońskim literaturę i historię, kształcił się w malarstwie w krakowskiej szkole Sztuk pięknych pod kierunkiem Jana Matejki, twórcy pocztu królów polskich i malowanych dziejów Polski. Matejko wywarł na Wyspiańskim potężny wpływ, którego ślady odnajdują się w całej późniejszej twórczości tegoż, chociaż indywidualność ucznia nie poszła szlakami mistrza, lecz wyrosła w jego antytezę. Przy restauracji kościoła Maryackiego Matejko, który stworzył wspaniałą polichromię tego kościoła, a wykonanie jej powierzył swoim uczniom pod swoim osobistym kierownictwem, najważniejsze roboty malarskie na ścianach kościoła oddał do wykonania Wyspiańskiemu. Cztery lata spędził następnie Wyspiański w Paryżu, gdzie kształcił się dalej w malarstwie i rzeźbie; tu wywarły nań potężny urok literatura francuska, arcydzieła sztuki europejskiej, oraz sztuka japońska; tu zaczął też pisać, nie ogłaszając narazie drukiem pierwszych płów swego talentu

poetyckiego, z których jedne później ogłosił, inne dopiero po jego śmierci doczekały się publikacji. Po powrocie z Paryża osiadł znowu w Krakowie, którego był dzieckiem i z którym cała jego twórczość była nierozzerwalnie, związana. Tu w Krakowie malował, rzeźbił, pisał.

A cokolwiek stworzył, wszystko ma za podkład te pierwiastki, które w pierwszej młodości wnikły w jego wyobraźnię. Cokolwiek przeczytał w gimnazjum i później w życiu, cokolwiek widział w świecie rzeczywistym, czy w świecie sztuki — wszystko to stapiało się w jego duszy w jedną całość z Wawelem, z Krakowem, wszystko asymilowało się u niego duchowo i przybrało kształt nawskróś jednolity. Wszystkie wpływy postronne, które silniej zadziałały na jego wyobraźnię, jak Homer i Sofokles i cały starożytny świat grecki, obrazy Moreau i Delacroix, Szekspir i Mickiewicz, dzieje roku 1831 i dzieje roku 1846 — wszystko to splotło się w całość z pierwiastkami krakowskimi, stanowiącymi podstawowe tło jego życia duchowego, wcieliły się razem z nimi we wspólne kształty. Akropolis i zamek królewski

w Hamlecie, złoży się w jego wyobraźni z Wawelem, Skamander z Wisłą, greccy bohaterowie z chłopami krakowskimi, losy Troi z losami Polski.

Wawel, Skałka, Wisła, Bronowice, Kraków cały i jego okolica, dzwony krakowskie, postaci krakowskie, wszystko, co z Krakowem związane historią, legenda, czy literaturą, — ożyło w jego utworach: historia Bolesława Śmiałego i św. Stanisława, ta tragedia Wawelu i Skałki, legenda o Kraku i Wandzie i t. d. i t. d.; „Dzwony krakowskie“ Józefa Kremera i „Dzwony krakowskie“ Edmunda Wasilewskiego rozbrzmiały nowymi, niesłyszczanymi dotąd dźwiękami w „Akropolidzie“ i w „Kazimierzu Wielkim“, anczykowski teatr chłopski, ta krakowska *comedia del arte*, wskrzeszoną została do nowego, przepotężnego życia w „Sędziach“, w których jednak jej figury ubrane zostały tragiczną maską.

Kraków stanowił Wyspiańskiemu ramy całej jego twórczości, ale w te ramy zdołał on ująć całą Polskę, wszystkie jej dzieje przeszłe, teraźniejsze i przyszłe. Ten nawskróś krakowski twórca nie był nigdy

lokalnym poetą krakowskim, lecz zawsze wieszczem narodowym.

Talent malarski Wyspiańskiego rychło został uznanym, chociaż zdumiewał nowością formy i pomysłów, której publiczność nie zrozumiała odrazu i do której długo przyzwyczać się nie mogła.

Symboliczne jego obrazy „Skarby Sezama“, „Topiel“, „Królestwo baśni“, „Fontanna“, „Płomienie“, „Szatany“, ilustracje do „Iliady“ Homera, jakoteż liczne twarze, przeważnie dzieci, prawie samych brzydkich, wniosły w nasze malarstwo żywioł zupełnie nowy, oryginalny. Twórczość jego malarska spopularyzowana została przez pismo „Młodej Polski“ literackiej i artystycznej „Życie“, którego artystyczną stroną kierował Wyspiański. Wystąpił on na tem polu jako nowator zdobnictwa typograficznego i całej estetyki drukarstwa; wdzięk i wytworność splótł z klasyczną prostotą w układzie, a motywy zdobnicze wzięł z kwiatów i traw i chwastów naszych łąk i pól. Stał się reformatorem krakowskiego drukarstwa, którego poziom artystyczny

podniósł do niebываłej wyżyny. Wogóle całe nasze zdobnictwo we wszystkich dziedzinach, cała polska sztuka stosowana, otrzymała od Wyspiańskiego silne impulsy. Wymienić tu należy „świetlicę“ w pałacu sztuki i urządzenie wewnętrzne domu lekarskiego, wykonane wedle jego planów i pod jego nadzorem.

Rychło się pogodzono z nowościami przezeń wprowadzonymi w malarstwie. Został nawet wkrótce profesorem krakowskiej Akademii Sztuk pięknych, gdzie kochany przez swoich uczniów, silny na ich twórczość wpływ wywierał, chociaż w przeciwieństwie do Matejki w niczem ich indywidualności nigdy nie krępował i nie naginał.

Towarzystwo artystów-malarzy „Sztuka“, reprezentujące nowe prądy w sztuce polskiej, w wielkiej mierze jemu zawdzięczało swe powstanie i swą sławę.

Wspaniale odnowił Wyspiański stylowo wnętrze kościółka św. Krzyża, a później kobiercami kwiatów pokrył ściany kościoła Franciszkanów, do którego okien wykonał również przepiękny witraż, przedstawiający św. Franciszka z Assyżu i witraże kwiatowe. Jako pierwszy niemal

twórca polskiej sztuki witrażowej, miał jednak na tem polu drogę ciernistą, pełną przeszkód, ponieważ ta gałąź sztuki, ograniczona w naszych czasach niemal wyłącznie do kościołów, musi walczyć z obскурantyzmem i klerykalnemi uprzedzeniami duchowieństwa. I tak jeden z witraży Wyspiańskiego, przeznaczonych do kościoła Franciszkańskiego, a przedstawiający św. Salomeę, został przez Franciszkanów zeszpecony w ten sposób, że postać Salomei, namalowaną świetnie przez Wyspiańskiego, wyrzucili, a w jej miejsce wstawili namalowaną banalnie przez innego malarza, pozostawiając dokoła przepiękne ornamenty kwiatowe Wyspiańskiego. Witrażu jego „Kazimierz Wielki“, przeznaczonego do katedry na Wawelu, kardynał Puzyna nie przyjął; podobny los spotkał witraż Wyspiańskiego „Śluby Jana Kazimierza“, przeznaczony dla jednego z lwowskich kościołów.

Ale gdy tepe klerykalne obrazoburstwo tak się obchodziło z arcydziełami malarzskimi Wyspiańskiego, tem większe znajdowały one uznanie w sferze ludzi kochających sztukę i znajdujących się na niej.

Niezliczone jego portrety (między nimi jego portret własny), oraz inne jego obrazy na wystawie krakowskiej i na wystawach wiedeńskiej „Secesyi“, budziły podziw i zdobywały laury swemu twórcy.

Natomiast jako poeta z początku zupełnie pozostawał w cieniu. W plejadzie bowiem „Młodej Polski“, otaczającej Przybyszewskiego, a dominującej wówczas w literaturze polskiej, żył Wyspiański życiem samotnika. Należał on do owego grona, ale różnił się od swego otoczenia całą swą istotą. Myśl jego i twórczość własnymi chodziła drogami i nie stał się on jednym z wielu, lecz stanął sam, gromowładny, olbrzym nowej idei i nowej formy. Ale zanim się na tem poznało, pozostał niedostrzeżony na uboczu, bo nie nagiął się do panującej mody. Pierwsze jego dramaty: „Legenda“ (osnuta na legendzie wawelskiej o Kraku i Wandzie) i tragedye greckie „Meleager“ i „Protesilaos i Laodamia“ przeszły bez wrażenia, bo chociaż zapowiadały wielką moc twórczą, odskakiwały jednak zupełnie tak treścią, jak i formą od panu-

jącej mody literackiej, nie szły z prądem, i dopiero gdy prąd ten przeminął, a Wyspiański stanął na szczycie sławy, zwrócono na nie uwagę i „odkryto“ ich zalety.

Ale pierwsze słowo, którym Wyspiański przemówił do publiczności nie z książki, lecz ze sceny, pierwszy jego dramat, wystawiony w teatrze — odrazu wywarł potężne wrażenie. Była to „Warszawianka“, grana po raz pierwszy w teatrze krakowskim 29 listopada 1898 r. Jest to wstrząsający obrazek z dziejów powstania 1831 r.; mały obrazek, w ciasnych ramach, po przez które jednak otwiera się perspektywa na całe nieszczęsne dzieje owego powstania, w których skoncentrowany jest cały nastrój, cały ból, cały tragizm owego historycznego roku.

Wstrząsającą aż do głębi jest scena, w której ranny żołnierz, stary wiarus z dywizyi generała Żymirskiego, wchodzi zbłocony, schlapany, sprószony śniegiem, blady jak trup, z śmiercią w piersiach, a jednak wchodzi krokiem wojskowym, trzymając się nadludzkim wysiłkiem, salutuje wedle przepisu ręką omdlewającą i oddaje Chłopickiemu raport o tem, że cała dywizya

Żymirskiego w pień wycięta. Scena bez słów. W głębi grają na klawikordzie i śpiewają chórem „Warszawiankę“, a na przodzie sceny rozgrywa się niema tragedia. Ale po tym kulminacyjnym momencie napięcie nie słabnie, lecz wciąż jeszcze się wzmacnia. Wprawdzie indywidualna tragedia skończona: narzeczony panny, młody oficer, zginął w bitwie — jak tylu innych. Lecz tragedia powstania nie skończona. Oto Marya pod wpływem strasznego ciosu, jakim jest dla niej wiadomość o zgonie narzeczonego, wyrasta w bólu na Kassandrę, wieszczącą zatracenie tym pułkom, które popod oknami ciągną na bój, zagładę powstaniu całemu. A przez okna dolatują słowa pieśni bojowników, idących na klęskę i śmierć:

Leć nasz orle w górnym pędzie,
Sławie, Polsce, światu służ.
Kto przeżyje, wolnym będzie,
Kto umiera, wolnym już!...

Zarówno w „Warszawiance“, jak i w „Lewelu“, oraz w napisanej daleko później „Nocy listopadowej“, Wyspiański był tylko

artystą, który dał obrazy dziejowe, ale dziejów nie sądził. We wszystkich tych trzech dramatach, osnutych na tle powstania 1830/31 r., ujawnia Wyspiański tylko jeden z dwóch zasadniczych pierwiastków swej twórczości, ten, który nazwałbym malarzkim, plastycznym: maluje tylko tę przeszłość wspaniałą, tragiczną, która opanowała jego duszę artysty; nie ujawnia jednak tego, co go od przeszłości odrywa i prze naprzód, a co nazwałbym ideowym jego twórczości pierwiastkiem. Ten drugi pierwiastek zrobił Wyspiańskiego z poety wieszczem. Było to właśnie owo wyzwalające słowo, które wstrząsnęło społeczeństwem: precz od przeszłości — ku przyszłości. Ale Wyspiański był artystą. Więc ta przeszłość tragicznie świetna więziła jego wyobraźnię sama swoim pięknem. Cóż stąd, że jako myśliciel chciał wzrok narodu odwrócić od grobów; jako artysta mógł rzec ze Słowackim: „Wstają mi z grobu mary takie ładne, że nimi tańce po dolinach wiodę...“ Jak u każdego wielkiego poety, to, co zginęło, co zginąć musiało lub musi, ożyło u niego w pieśni, opromienione złotymi blaskami poezji, gloryą

tragicznego stygmatu nieubłaganej konieczności zgonu...

W „Nocy listopadowej“, nad którą widnieje stygmat Cheronei, daje Wyspiański przynajmniej zapowiedź zmartwychwstania, odrodzenia z tej krwi, która wsiąkała w ziemię. W „Lelewelu“ niema nawet i tego: jest tylko obraz dziejowy. Widzimy tam zmagające się z sobą dwa kierunki uosobione przez Czartoryskiego, polityka arystokracji i legalizmu, i Lelewela, który woła:

W was niedość rewolucyi jest; rozbuntowany
niedość jeszcze nasz kraj. Trza rewolucyi!
Trzeba, by wstały huczące orkany! — — — —
— — — — — Niech się prawda świetli!
Niech gwiazdy nasze bledną — wstaną nowe!

Jaki rezultat tego zmagania się z sobą dwóch sprzecznych prądów? Żaden. Autor nawet nie ukazuje, na którym z nich ciąży tragiczna wina. Tragedya idzie tu z zewnątrz: od armat Moskali, w obliczu których kwestya sporna staje się bez znaczenia. Żadnych wniosków autor nie wyprowadza, żadnych nie wydaje sądów. Charaktery historycznych postaci we wszyst-

kich trzech swoich dramatach z 1831 r. kreśli Wyspiański tak samo, jak je opisał isticie po tacytowsku Mierosławski w swej historii powstania listopadowego. Oceny wypadków nie daje. Są to zatem dramaty historyczne w pojęciu podobnem, jak „historye“ Szekspira.

I w dramacie, który po „Lelewelu“ nastąpił, także jeszcze wyłącznie plastyczny pierwiastek twórczości Wyspiańskiego się ujawnił. Dramat ten: „Klątwa“, nie był wprawdzie grany w teatrze (cenzura teatralna nie pozwala podobno na jego wystawienie, dopatrując się w nim poniżania kleru katolickiego, czy religii katolickiej), ale potęgą słowa przemówił równie silnie do czytającej publiczności. Jestto tragedia w formie grecka, klasyczna, w treści swojska i współczesna. Rozgrywa się w galicyjskiej wiosce. Temat tragedyi stanowi chrześcijańskie pojęcie grzechu. Wyspiański wziął to pojęcie tak, jak ono odzwierciedla się w duszach wierzących. Od siebie nie dał żadnego komentarza. Inaczej postąpił np. Władysław Orkan, który w dramacie „Wina i kara“, równie greckim w formie, równie swojskim i współczesnym w tre-

ści, równie rozgrywającym się we wiosce galicyjskiej, także wziął za temat chrześcijańskie pojęcie grzechu, ale wzniośle ukazał, że staje się ono tragicznym tylko w duszach ludzi wierzących; dla niewierzącego, dla panteisty, nie istnieje grzech, istnieje tylko przejaw przyrody, a temsamem niema dlań tragedyi w tem, co jest tragedją dla człowieka usidłanego wiarą w klątwę, ciężącą nad pięknem i naturalnymi przejawami życia. W „Kłątwie“ Wyspiańskiego niemasz tego zwierciadła tragedyi, jest tylko tragedia sama. Ksiądz wiejski ma dwoje dzieci z Młoda, swoją gospodynią. Posucha nawiedza wioskę; żar słońca spala plony. Kara boża za grzech księdza — tak wierzą chłopci i ksiądz i Młoda. Dla odkupienia grzechu Młoda z obojgiem dzieci wstępuje na stos ofiarny i ginie wraz z niemi w płomieniach.

W „Kłątwie“ stworzył Wyspiański arcydzieło języka polskiego. Dla rozwoju naszego języka jest „Kłątwa“ wprost epokowa. Jak z sukman chłopskich zrobił w „Bolesławie Śmiałym“ płaszcze królewskie, jak osty przeistoczył w pełne wdzięku ornamenty, jak z kwiatów polnych uczynił prze-

piękną dekoracyę ścian kościoła Franciszkańskiego — tak w „Kłątwie“ język chłopski podniósł do majestatu greckiej tragedyi. Nie obniżył poziomu tragicznej mowy do poziomu języka ludowego, lecz mistrzowską dłonią wyniósł język ten do wyżyn ducha, udostojnił go, zakuł w marmurowe kształty. Od czasu „Bogarodzicy“ język polski nie wydał tak potężnej modylitwy, jak ta w „Kłątwie“:

Rola schnie się,
gleba pęka,
Kłos bujny mdleje, —
Bożych Sądów
groźna ręka:
Serce truchleje.

Promień pali,
gorejący,
Słońce szaleje, —
Bożych Sądów
Znak karzący
Ogniami zieje!

Straszny Sędzio,
spuść srogości,
Ziści nadzieje, —
Jakoś dawał w obfitości,
dziś mej skrusze zwól litości,
grzeszny boleję.

Natomiast w następnym dramacie Wypiańskiego, „Legionie“, ukazuje już zarodek tego pierwiastku ideowego, który później w „Weselu“ i „Wyzwoleniu“ rozgorzał jako pochodnia przed narodem. „Legion“, osnuty na dziejach legionu Mickiewicza z r. 1848, odtwarza moment szczytowej idei mesyanicznej, a zarazem jej bankructwo. Oto woła Sława:

Synowie, Synowie moi!
Zadźwięczej kości we zbroi,
zajęknij echo przestrzenne,
obudź senne, obudź senne,
zbudź syny we złotej zbroi,

Do bronii, Synowie moi!
we złotej powstańcie zbroi,
zajęknij echo przestrzenne,
krwi wołam, krew serce poi,
leć głosie, w głos echo dzwoni:
do bronii! do bronii! do bronii!

I Mickiewicz organizuje legion, którym chce świat odrodzić.

Mickiewicz: Oto się podnoszą ludy, jako lwi,
jak lwy, jako zwierzę, twór krwawy;
jak ława palącej lawy,
zaryją w ciemniach kurzawy

złe miasta, złe ludowiska
i pogasną ogniska od krwi!
Chór: Oto prorok, prorok obudzony;
jak ława palącej lawy
z ust jego płomienna mowa,
oto prorok powstał, oto lew,
Niechaj wstanie prorok jako lew,
z ust jego płomienna mowa,
oto chwila dla żywotów nowa;
niech na nasze głowy spadnie krew.

Ale Mickiewicz bierze jako godło swoje krzyż. Nie słyszy ostrzegających głosów pogańskich boginek i guślarzy litewskich, wyobrażających przyrodę i życie w przeciwstawieniu do idei chrześcijańskiej, depczącej życie i jego potrzeby. Napróżno wołają do Mickiewicza te głosy natury i życia rzeczywistego: „Wróć, wróć, ty nasz, bo jeszcze czas!“ Nie słyszy, nie widzi,

Zapatrzony w Boga, który kona.
W krzyżowego jeno patrzy Boga,
patrzy w krzyż.
Szaleństwem krzyża szalony!

Idzie więc Mickiewicz ze swą ideą mesyaniczną, ideą krzyża, między lud i woła:

Moje dziedzictwo ruiny,
stojne cyprysów żałobą.
Królestwo moje świat Ducha.

Z początku tłuny entuzjastycznie odpowiadają mu okrzykiem: „Altissimo, altissimo poeta!“, ale gdy Mickiewicz dalej rozwija swą myśl:

Królestwo moje za światem,
gdzie gwiazd się poczyna potęga;
kędy wieczna, wieczna zawierucha
wiedzie w Przewrót rozpięta słońca,
kędy niemasz drogom końca.
Królestwo moje: Świat ducha —

wówczas tłuny zaczynają się burzyć, żądać zejścia z świata ducha w świat rzeczywisty, wołać o realny czyn, o ziemską walkę rewolucyjną:

Demos: Oto naród powstał jako lew;
rzesze ku tobie wołają:
przez krew, przez krew, przez krew!!

Mickiewicz: Chrystusa na chustach mają,
Chrystusa obraz i znamię.

Demos: Przez krew, przez krew wołają!

Mickiewicz: To Szatan sercu kłamie.

Chór: Tam naszych mordują, tam krew;
obłądła, zła twoja mowa!

Lud opuszcza Mickiewicza, łamie krzyże i sztandary Chrystusowe i bieży na krwawą walkę rewolucyjną. Poeta pozostaje osamotniony, zrozpaczony. Nie zrozumiał ży-

cia, ono go porzuciło. Zbiera jeszcze garstkę nieliczną dokoła siebie, jakoby dwunastu apostołów, którzy przysięgają wytrwać w wierze w królestwo nie z tego świata. Z garstką tą płynie nocą w łodzi po skłębionych falach wielkich wód. Płyną tak na zatracenie. Mickiewicz zabrania im oglądać się na rzeczywistość. Ale gdy ta im zajrzała w oczy i gdy ich los staje im się widocznym, odprysięgają mistrza.

Mickiewicz: Niegodni, niegodni istnienia!
przez śmierci lękacie się trwożą!

Chór: Oto mową mówi piorunową,
oto prorok, prorok, oto lew,
oto wkoło Noc i morze krwi.

Mickiewicz: Mielście być, jako lwi!
Wkoło Noc i morze krwi!

Mickiewicz podpala łódź, wierząc w odrodzenie przez śmierć i „Legion“ kończy się wizją purpurowo płomiennej łodzi na tle czarnej nocy. Łódź ginie bez ratunku: wśród łuny pożaru widać, jak Tanatos (śmierć) kieruje sterem korabiu. Wizja ta (reminiscencya dantejskiej łodzi z obrazu Delacroix) jest symbolem bankructwa idei mesyanicznej, która do śmierci jeno, nie

do życia, nie do odrodzenia na tym świecie wiedzie.

A po „Legionie“ jał Wyspiański w „Weselu“ i w „Wyzwoleniu“ w dalszym ciągu przeprowadzać bilans naszej spuścizny po romantyzmie.

Pamiętamy żywo ów moment przełomowy, stanowiący epokę w naszym życiu umysłowym, gdy w marcu 1901 r. ukazało się na scenie teatru krakowskiego „Wesele“. Jak wichura, jak burza przeszło to jego nowe słowo po łańcach polskich, ciskając grom po gromie, oczyszczając atmosferę, Nic podobnego nie zdarzyło się jeszcze dotąd w naszej literaturze, w naszym życiu duchowym. „Wesele“ wstrząsnęło niem do głębi. Bo Wyspiański odważył się sięgnąć do głębi współczesnego życia narodowego, zedrzyć maskę z pustego frazesu, przesłaniającego to życie, „chwycić za trzewia i zatargać“. A uczynił to z całą nieowlącą potęgą geniuszu.

Na wielki sąd zwołał teraźniejszość, jej prądy, dążności, wierzenia, czyny. W chacie wiejskiej, w Bronowicach, na weselu

młodego poety z chłopską córką, której siostra jest żoną malarza, zgromadził mu się przed oczyma ów świat inteligencji, która poszła między ten lud dorodny, bajecznie kolorowy, taki ładny z kosą w dłoni. Jest to symboliczne wesele inteligencji z ludem, tragikomedia współczesnego chłopomanstwa.

..... historia wesoła,
a ogromnie przez to smutna...

Wszystkie ideały, którymi ta inteligencja hipnotyzowała siebie i lud, okazały się pustymi frazesami. W uniesieniu ciska Wyspiański tej inteligencji w twarz piorunowe słowa:

Orły, kosy, szable, godła,
pany, chłopcy, chłopcy, pany:
cały świat zaczarowany,
wszystko była maska podła!
Chłopcy, pany, pany, chłopcy,
szable, godła, herby, kosy,
aż na głowie wstają włosy,
wszystko była podła maska
farbiona, — jak do obrazka:
cały świat zaczarowany.

Snuło się to jak gorączka,
jak gorączka na wulkanie,

jak szumienie na organie:
takie figury w koronie,
tacy pyszni szlachta w herbie,
pałace, zamczyska, wille,
tabunami gnane konie,
sześciu paradników w tyle:
hulaj dusza bez kontusza
z animuszem, hulaj dusza!!
Ani zbili pan w koronie,
że stoimy gdzieś na szczybie,
ani zbili szlachta w herbie,
ani zbili chłop przy roli,
czy tam kogo gdzie co boli:
wół przy roli, świnia w ganku, —
hulajże panie kochanku!

Wy, a wy — co wy jesteście:
wy się wynudziacie w mieście,
to się wam do wsi zachciało:
tam wam mało, tu wam mało,
a o to co z nas pozostało:
lalki, szopka, podłe maski,
farbowany fałsz, obrazki!
Niegdyś, gdzieś tam, tęgie pyski
i do szabli i do miski;
kiedyś, gdzieś tam, tęgie dusze,
pół-waryackie animusze:
Kogoś zbawiać, kogoś siekać;
dzisiaj niema na co czekać.
Nastroj? macie ot nastroje:
w pysk wam mówię litość moją! Tfu!

Mocne słowa, niesłyszane dotąd! Wyrok
potępienia dla całej współczesnej generacji!

inteligencji polskiej, w której Wyspiański
wyczuł „farbowany fałsz“. Hasła, którymi
ta inteligencja zaprzętała głowę sobie i lu-
dowi, owe „orły, kosy, szable, godła“, ów
„cały świat zaczarowany“, „wszystko była
maska podła“, „lalki, szopka, podłe maski“.
Czyż nie opowiadała owa inteligencja chło-
pu o Bartoszu, o kosach, które starczą na
moskiewskie pałasze, czy nie kładła tego
nieustannie w uszy chłopa, wmawiając
w siebie, że w ten sposób spełnia obowią-
zek narodowy? Ale to były tylko słowa,
słowa, słowa, których nie brali seryo ci,
co je głosili, nie czując, jakoby one do
czegokolwiek obowiązywały. Jacyż to są
ci ludzie, którzy przyszli na to „wesele“
inteligencji z ludem?

Oto gospodarz, artysta malarz, kocha ten
lud, cieszy się, że „temperamenta grają“,
ożenił się nawet z chłopką, wierzy, że
„chłop ma w sobie wiele z Piasta, chłop
potęgą jest i basta“, wierzy, że „odmienia
nas natura“, czuje, że

tak się w każdym z nas coś burzy,
na taką się burzę zbiera,
tak w nas ciska piorunami,
dziwnymi wre postaciami,

dawnym strojem, dawnym krojem,
a ze sercem zawsze swoim;
to dawność tak z nami walczy.
Coraz pamięć się zaciera, — — —
tak się w każdym z nas coś zbiera

ale też wszystko to czuje on tylko niejako
i wszystko kończy się u niego na nadziei,
że... jakoś to będzie...

Nie podziela tej wiary brat gospodarza,
poeta. Jestto „łatawiec“, dusza znużona,
dekadent, w którego sercu włóczy się
z nim grot „weltschmerzu“, co mu wcale
nie przeszkadza być mistrzem flirtu i mi-
łośstek *pour passer le temps*. „Taki mu
się snuje dramat“, którego bohater „dra-
matyczny rycerz błędny“, Zawisza, w zbroi;
ale te poetyczne marzenia rosną w jego
duszy „jak na próchnie, jak na trum-
nie“... Rozgrywa się w niej dramat nie-
mocy:

Jest ktoś, co mnie wiąże do roli,
i ktoś, co mnie od roli odrywa;
jest ktoś, co mi skrzydła rozwija,
i ktoś, co mi skrzydła pęta;
jest ktoś, co mi oczy zakrywa,
i ktoś, co światło ciska;
jest jakaś ręka święta,
i jest dłoń inna, przekłeta:

jest szczęście, co się ze mną mija,
i nieszczęście, które mnie tuli...

Szwagier gospodarza, pan młody, także
poeta, uosobienie chłopomanstwa, żeni się
z chłopką i idzie między lud tylko dla-
tego, że lud ten „bajecznie kolorowy“, że
mu zbrzydło w mieście i wieś nowe mu
daje wrażenia, że mu się podobają pawie
pióra, biało-czerwona sukmana, chłopski
strój, w który się też przebrał. Sztydzi zeń
sprytny żyd:

Pan dzisiaj w kolorach się mieni;
pan to przecie jutro zruści...

Pan młody: Narodowy chłopski strój!

Żyd: No, pan się narodowo bałamuci,
panu wolno, — a to ładny krój, —
to już było...

A pośród gości weselnych, którzy przy-
jechali z miasta, jest artysta, pijący z pe-
symizmu, który go przeżarł, powtarza-
jący:

Spłyniem, inni po nas przyjdą,
après nous le déluge!

Po nas niech przyjdzie potop! Cóż taka
schorzała dusza, bez wiary w swoje poko-
lenie, ma do powiedzenia ludowi? Nic.

Jest i dziennikarz, z duszą pękniętą,
który sam nie wierzy w to, co pisze w konserwatywnym dzienniku; nie ma on żadnej wiary w przyszłość, „nie chce żadnych więcej prób“, nie wierzy w społeczeństwo i zadania społeczne; dla niego

„społem“ to jest malowanka,
„społem“ to duma panka,
„społem“ to jest chłopskie „w pysk“,
„społem“ to papuzia kochanka...

Gdy mu tak „gasną świece narodowe“,
cóż mu czynić wypada w tej niewierze?

Usypiam duszę mą biedną
i usypiam brata mego...

W tem usypianiu dusz ludzkich widzi
on swoje zadanie i dlatego głosi chłopu
zasadę siedzenia cicho:

Niech na całym świecie wojna,
byle polska wieś zaciszna,
byle polska wieś spokojna...

Słusznie odpowiada mu chłop Czepiec:

Pon się boją we wsi ruchu,
pon nos olśniwajom w duchu.

A jak my, to my się rwiemy
ino do jakiej bijacki.
Z takich jak my był Głowacki.
A jak myślę, że panowie
duza by już mogli mieć,
ino oni nie cheom chcieć!

Nie chcą chcieć! To wszystko, co chłopu
mówili o Głowackich, były tylko „malowanki“. A chłop brał to seryo; ten chłop,
co to się sam do świata garnie, co to już
czyta gazety. Rzucony na pastwę księdza
i żyda, dwóch pijawek wiejskich, które do
spółki go wyzyskują i którym w „gorącości“ wymyśla:

to któż moich groszy złodziej,
czy żyd jucha, czy dobrodziej?!

ten chłop brał za dobrą monetę frazesy,
słyszane od patryotycznej inteligencji; więc
u niego już „wiszą kosy nad boiskiem...
jakby przyszło co do czego...“

Oto główne, typowe osoby tragicomedyi „wesela“ inteligencji patryotycznej z ludem.

W noc weselną, umysł zmęczony i rozgorączkowane muzyką i tańcem dwóch pierwszych dni wesela, pijatyką i niewy-

spaniem, — doznają halucynacyj. Zjawiają się im mary wcielające to wszystko,

co się komu w duszy gra,
co kto w swoich widzi snach.

Przesuwa się korowód mar: Zstępują do tej chaty rozśpiewanej figury z obrazów Matejki i inne ze świata ideologii patryotycznej inteligencji polskiej. Przychodzą na sąd, który określa ich stosunek do życia rzeczywistego naszych czasów. A więc dziennikarzowi ukazuje się mądry błazen króla Zygmunta, Stańczyk; ten zna nawskróś ów światek polski, który w tej chacie znalazł:

Domek mały, chata skąpa:
Polska, swoi, własne łyzy,
własne trwogi, zbrodnie, sny,
własne brudy, podłość, kłam;
znam, zanadto dobrze znam...

Zna on to społeczeństwo, któremu w twarz rzuca szyderstwo: „Błaznów coraz więcej macie, nieomal błazeńskie wiecie!“ Przejrzał on nawskróś i duszę owego krakowskiego dziennikarza konserwatywnego:

Puszczyku!
Zgrałeś się przy zielonym stoliku,

czy z kobietami w gorączce
opętałeś duszę mdłością
i w tej chwili paląc
oślepniesz we własne próchno.

Daje mu więc Stańczyk swój kaduceus,
błazeńskie berło, z szyderczemi słowy:

Naści; rządź!
masz tu kaduceus polski,
Mać nim wodę, mać!

Fata pędzą, pędzą Fata —
Wielkość, — Nicość, — pusty dzwon,
serce strute, —
uderzyłeś błazna ton:
moją nutę.

Kłam sercu, nikt nie zrozumie,
Hasaj w tłumie!
Masz tu kaduceus, chwyć!
Rządź!

Mać nim wodę, mać!
Na Wesele! Na Wesele!
Idź!

Mać tę narodową kadź,
serce truj, głowę trać!
Na Wesele! Na Wesele!
Staj na czele!!!

Poecie ukazuje się duch Zawiszy, rycerza w zbroi, „niesie dań, orężny szal“, ale poeta z przerażeniem spostrzega „za przyłbicą pustość, proch“...

Panu młodemu zjawia się trapiiony przez dyabły duch hetmana Branickiego, który sprzedał Polskę Moskalom i dźwiga teraz niecki ze złotem, otrzymanem za zdradę od carycy; staremu chłopu ukazuje się upiór Szeli, który w r. 1846 rznął szlachtę, jako najemnik Metternicha; zjawia się krwią zboczony, z orderami austriackimi na piersiach:

Przyszedłem tu do Wesela,
bo byłem ich ojcom kat,
a dzisiaj ja jestem swat!!
Umyję się, wystroję się.
Dajcie, bracie, kubał wody,
ręce myć, gębe myć,
suknie prać, — nie będzie znać,
chce mi sie tu na Weselu
żyć, hulać, pić — — —

Takieto upiory polskiej przeszłości przy-
chodzą w gość na Wesele... Wkońcu zja-
wia się gospodarzowi duch Wernyhory:

Zdaleka, a miałem blisko
i wybrałem Weselisko,
boście som tu jakoś wraz,
i wybrałem Ichmość Mości
dom, gdzie ludzie sercem prości.

Przybył na siwym koniu ze złotemi pod-
kowami ten znany, spodziewany,

ten, o którym jeszcze wczora
tylko we śnie, tylko w marze...

Zjawił się „jak ze snu prawda żywa“,
obwieszcza gospodarzowi, „że to chwila
osobliwa“ i przynosi „Słowo-Rozkaz, Roz-
kaz-Słowo“:

Ma być jawne, co jest krytem,
co dalekie było, — blisko.
Dziś u Waści weselisko;
prawie, że są wszyscy społem;
roześlesz wici przed świtem;
niech jadać we cztery strony.

Gospodarz: Porozsełam konno gońce,
roześlę wici przed świtem;
zaraz się poradzę żony, —
ona swoim chłopskim sprytem...
Wernyhora: Niech jadać we cztery strony!

Ma się spełnić cud zmartwychwstania
Polski, głoszony przez ideologię romanti-
czną: Niechaj się lud zgromadzi o świecie
przed kościołem z kosami i inną bronią
i niech wyteżą słuch, aż od krakowskiego
gościńca usłyszą tentent: to Wernyhora
przybędzie z Archaniołem i powiedzie hu-
fiec, aby odbudować Polskę. Wręcza wre-
szcie Wernyhora gospodarzowi „złoty róg“,
symbol romantycznych ideałów patryoty-
zmu polskiego:

Możesz nim powołać chór!
Na jego rycerny głos
spotężni się Duch,
podejmie Łoś.

„To jak we śnie prawda żywa!“ — woła
w ekstazie gospodarz.

„A wszystko bajka wierutna!“ — odpo-
wiada szyderczo rzeczywistość...

Gospodarz gorączkowo bierze się do speł-
nienia zadania. Posyła drużbę Jaśka, mło-
dego parobczaka, z wicią, żeby się rano
lud zgromadził z kosami; daje mu na drogę
złoty róg:

wrócisz, to se staniesz tu;
wtedy zadmij tęgo w róg,
to się taki wzmoże Duch,
jaki nie był od lat stu.

Rusza Jasiek ze złotym rogiem konno,
zwoływać ludzi. A gospodarz, znużony, wy-
czerpany, sadowi się w fotelu, by się na
chwilę zdrzemnąć. Jakież przebudzenie rano!

Zjawiają się chłopci z kosami. Na czele
Czepiec; budzi gospodarza:

Hej, hej, panie — — —!
cóżto pon śpią, trzeba wstać,
trzeba się do czego brać!

Gospodarz przeciera oczy, zdumiony. Nie
nie wie, nie rozumie. Wernyhora, złoty
róg — to był dla niego tylko sen, czaro-
wny sen, z którego mu już nic w pamięci
nie zostało. Zdziwiony pyta:

A wam co się z kosą śni?

Dla chłopów to, co słyszeli od intelligen-
cyi, nie było jeno snem, marzeniem; oni
to brali za przykazanie czynu. Więc teraz,
gdy przyszła „chwila osobliwa“, głoszona
im przez inteligencyę, chcą czynu i żądają
od inteligencyi, żeby ich prowadziła:

Wyście bo to żarnych świc
rozpalili z naszych lic.
Panie, a cy pon pamięta,
jak pon szeptoł nieraz w noc,
co mówiła Panna Święta,
jako w nas jest wielga moc,
jako że moc jest zaklęta,
że sie kiedyś opamięta...
Wyście to pożarnych świc
rozpalili z naszych lic!

Ale inteligencya w chwili czynu stoi
niema, bezradna; do poezyi ona się wy-
chowowała, nie do czynu; poprostu nie
rozumie chłopów, którzy się burzą na tę

niemoc inteligencji. Panu młodemu oburzony Czepiec rąbie w oczy prawdę:

Kręć pan ino próżne żarny,
poezyje, wirse, książki,
podobajom ci sie wstążki,
stroisz sie w te karazyje,
a jak trza sie mirzać z czego,
to pon w sobie szyćko skryje!

Nikt z inteligencji tych chłopów nie rozumie. Poeta zdziwiony powiada:

A przecież się nic nie dzieje!

Na to Czepiec wybuchą:

A toć przecie wciąż mówicie,
jeśli rozumiem co z tego;
ponoć nawet pierwsi wicie:
to rzecz wielka!

„Jaka?“ — pyta gospodarz. „Dnieje!“ — odpowiada mu Czepiec. Gdzie dnieje? A tak, na polu wschód słońca; barwami jego zachwyca się poeta, że aż złość porywa Czepca:

Pon ino widzisz pchły,
pchły, świecidła, rose, ćmy,
a nie chcesz znać, co som my:
że w nas dnieje, dusa świci!

Nie! Nic z tego nie rozumie ta inteligencya. Gospodarz wciąż powtarza: „Zachodzę, zachodzę w głowę“, dziwuje się: „Nas czekają? — was czekają?“

„Pany, wyście ino do majaki!“ — ciska Czepiec inteligencji gorzką prawdę.

Chłopoman i artysta-malarz w duszy gospodarza znajduje tylko estetyczne upodobanie w pięknym obrazie chłopów krakowskich z kosami:

Kum pijany, — ja pijany — —
Ładnie wam tak z kosą w dłoni.

Ale dla chłopów to nie żadna estetyczna zabawka, — to ma być czyn, walka. Więc pasya porywa Czepca:

Psiakrew, ludzie, jo mom stać,
a ludzie chcom sie rwać!

Przypomniał sobie wreszcie gospodarz z mozołem Wernyhorę i jego Rozkaz-Słowo. Stają wszyscy, tężą słuch — i w tem oczekiwaniu zapadają w sen letargiczny, z którego nic ich nie zbudzi, bo Jasiak zgubił złoty róg.

Zginął „złoty róg“ ideałów romantyzmu. Inteligencya i chłopie nie mogą ruszyć na-

przód; w uśpieniu chwytają się w bez-
myślny tan. „Rozpiął się nad nimi los“.

Nic nie słyszą, nic nie słyszą,
ino granie, ino granie,
jakieś ich chybiło spanie...

I wiruje ten taniec senny, letargiczny.

Będą tańczyć cały rok...

Suną pary — pany chłopcy, chłopcy pany,
cały świat zaczarowany — wlece się ten
korowód sennych par, zahipnotyzowanych
frazesem, przy grze słomianego chochoła,
który niemiłosiernie szydzi:

Miałeś, chamie, złoty róg,
miałeś, chamie, czapkę z piór:
czapkę wicher niesie,
róg huką po lesie,
ostał ci się ino sznur,
ostał ci się ino sznur...

Taki bilans dotychczasowych haseł nar-
odowych zrobił Wyspiański w „Weselu“.
Bezlitośnie zdarł maskę z „szopki“, z „ma-
lowanki“ i ukazał wewnętrzną pustkę.

Potężną tę prawdę rzucił społeczeństwu
w formie nowej: budowa „Wesela“ jest

niezmiernie prosta, przypominająca jasełka;
a prosty, jędrny język, a prosty, oryginalny
swą prostotą wiersz „Wesela“, taki polski,
taki z duszy, a malownicze obrazy, jak
np. obraz końcowy, — wszystko to spo-
tęgowało moc tych prawd, które „Wesele“
przyniosło w dani współczesnemu poko-
leniu.

Wrażenie „Wesela“ było piorunowe. Od-
razu Wyspiański stał się w opinii powsze-
chnej wieszczem narodu. I ci, którzy stali
na przeciwnym biegunie, i ci, których schło-
stał, musieli się ukorzyć przed potęgą jego
geniuszu. W obozie konserwatywnym przy-
jęto „Wesele“ z bezsilną wściekłością, która
się jeszcze spotęgowała, gdy następnie Wy-
spiański w „Wyzwoleniu“ rozwinął swój
program.

Przedstawił on w „Wyzwoleniu“ wszyst-
kie „historyczne“ warstwy naszego społe-
czeństwa: i szlachcica, który ostatek złota
przegrywa w karty, a chłopca darzy bezdenną
pogardą i wciąż sobie wyobraża, że szla-
chta jest Polską; i kardynała, który każe
w pokorze na kolanach słuchać tylko tego,
co Rzym powie, choć ten Rzym wyrzekł
o Polakach:

Niech będą wyczekujący,
aż Śmierć je zgrabi, zaorze.
Zyskają zbawienie Boże...

i stańczyka, który każe milczeć i kiwać głową i nie wymawiać imienia Polski; i tromtadrate, wszechpolskiego szowinistę, który nic nie wie i nie chce wiedzieć o świecie, a tylko wciąż bezmyślnie wrzeszczy: „Polska! Polska!"; i kaznodzieję, który nie na ziemi, lecz w niebie każe szukać zbawienia; i współczesną poezję polską, której treścią ideową jest: Nic; i takiego patryotę, dla którego pod sklepieniem wawelskiem zatrzymuje się i kończy myśl polska... Wszyscy oni idą za omszałym patyną geniuszem romantyzmu, który ich wiedzie w przeszłość, w podziemia Wawelu, w grób. Ale zatrzymuje ich Konrad, nowy, współczesny Konrad, który naród chce poprowadzić nie wstecz, lecz naprzód, nie w przeszłość, lecz w przyszłość, nie w grób, lecz do nowego życia. Zwycięża on geniusza, — ale tu zaczyna się jego tragedia. Bo trafił na pokolenie karłów, na klasy niezdolne do życia i czynu. Oni nie rozumieją głosu dzwonu, wołającego „pójdźcie ze mną“, a przywykli do tea-

tralnego „tam-tam“. Dla nich kończy się wszystko na szopce.

Rola — rola skończona? Wasz umysł tak dzieli myśli na rolę i nieco powszednią, że skoro rolę wypowiedziecie gładko, deski sceniczne z pod stóp wam uciekną i rola najpiękniejsza staje się wam brednią. Nędzarze!

W takich warunkach, na gruzach „farbowanych fałszów“ pozostaje narazie tylko ślepa rozpacz, bezsilnie się szamocąca w ciemności. Wyspiański jeszcze nie widział rodzącego się w burzach naszych czasów wyzwolenia. Oddzielony był bowiem od prądu życia chorobą. Jeszcze był uwięziony przez te upiory przeszłości, przeciw którym się buntował. Nie widział wschodzącego świtu. Ale go przeczuwał. Przeczuwał to jutro, które dlań było jeszcze „wielką tajemnicą“. I zakończył „Wyzwolenie“ przepowiednią, że kiedyś, „gdy szary świt uchyli bram“, przyjdzie ktoś, „może wyrobnik, dziewczka bosa“, co wyzwoli Konrada, otworzy mu drzwi z teatru, t. j. ze świata ideologii, gdzie go zamknięto, do świata rzeczywistego,

i wtedy Konrad z mieczem w ręku wybieży w świat, w naród wołając:

Więzy rwij!

Posłannictwo przyszłości należy do klasy robotniczej, do której Konrad mówi: „Poznałem w was siłę!”

Zwraca się on namiętnie przeciw stronictwom wstecznym i ugodowym:

KONRAD: Warchoły, to wy! — Wy, co liżecie obcych wrogów podłóże, czołgacie się u obcych rządów i całujecie najeźdźcom łapy, uznając w nich prawowitych wam królów. Wy hołota, którzy nie czuliście dumy nigdy, chyba wobec biedy i nędzy, której nieszczęście potracaliście sytym brzuchem bezczelników i pięścią sługi. Wy lokaje i fagasy cudzego pyszałstwa, którzy wyciągacie dłoń chciwą po pieniądze, — po łupież pieniężną, zdartą z tej ziemi, której złoto i miód należy jej samej i nie wolno ich grabić. Warchoły, to wy, co się nie czujecie Polską i żywym poddaństwa i niewoli protestem. Wy sługi! Drżycie, bo wy będziecie nasze sługi i wy będziecie psy, zaprzęgnięte do naszego rydwanu i zginiecie! I pokryje waszą podtość NIEPAMIĘĆ!

My mamy za wiele poczucia solidarności narodowej. I tem nas oszukują, że my powinniśmy mieć to poczucie solidarności narodowej. Bo wszędzie są złodzieje i rozbójce i osuasty. I gorsi i lepsi... A mimo to żyją jako kompleks

ludzi, pod jednym tytułem... A nam z okazji tej właśnie połowy, która jest złą... W nas chcą wmówić, że za to jesteśmy odpowiedzialni i że jesteśmy do niczego... A cóż nas ta zła część naszego narodu obchodzi?... No więc nie powinniśmy żyć solidarnie ze sobą... Niepotrzebnie wyrabiamy poczucie narodowości i solidarności z lichą częścią naszego narodu. Jestto rzeczą złą i niepotrzebną.

Co mnie obchodzi przedewszystkiem mój naród? Co mnie obchodzi jego historia i jego plotki? Tak, plotki. Bo ostatecznie wszystko, co wam daje wasza poezya, jest plotką, z którą się nie walczy.

Nie obchodzi mnie nie wasz naród, bo ten wasz naród nie jest waszym narodem. Zgoda wasza i zgodność wasza jest już dla was niedościgłą, więc stąd uznajecie ją tak skwapliwie w tej waszej poezyi. Na co wam zgody potrzebna? Jedyne niezgoda z was co jeszcze wytwarza, z was, którzy jesteście niczem, niczem, niczem.

Mistycyzmowi politycznemu, odziedziczonemu w spadku po poezyi romantycznej, owemu frazesowi odświętnemu, niezgodnemu z życiem, Konrad kres kładzie:

Poezyo, precz!!! jesteś tyranem!!

Nierealnej, niewynikającej z życia idei mesyanicznej romantyzmu, służącej jedynie do hipnotyzowania umysłów, a nie

obowiązującej do niczego w życiu, — której bankructwo już w „Legionie“ zobrazował — przeciwstawił Wyspiański w „Wyzwoleniu” hasło nowe:

Na co mamy być Chrystusem narodów, wyłącznie na mękę i krzyż i dla cudzego zysku?

Krzyż znaczą Boży nie przeto,
bym na się krzyż przyjmował;
lecz byś mnie, Boże, od męki,
od męki krzyża zachował.

Niech się królestwo stanie
nie krzyża, lecz zbawienia!

Krzyż przeklnę, Chrystusa godło.
gdy męką naród uwiodło.
Dla mnie żywota Prawo!!

Żywota Prawo! Dość długo naród był
twarzą zwrócony w przeszłość, wpatrzony
w groby! Myśl tę rozwija Wyspiański również
w poemacie „Kazimierz Wielki“:

Naród mój tak się we swą przeszłość weśnił;
schodził we wszystkie grobowe piwnice,
z trupami się, umarłymi rówieśnił,
badał im w trzewach skonu tajemnice;
że sam w tych ciągłych łzach i płaczach pleśnił,
brzdami czoło porał i lice

i starzał, — w coraz dalsze patrząc groby;
wzrok tężył w mroczne podcienia żaloby.

Rozpoznawałem, że kochał się w trunach,
kołysząc w nich swą myśl, jakby w szalupach;
że czytać znał, jak w powikłanych runach,
w bereł kruszynchach i koron skorupach;
jak na spuścizny cieszył się fortunach,
rozmiłowany w tych przegniłych trupach:
mniemając, że go to do życia wiodło,
że brał te trupie piszczele za godło.

Widywałem tych trupów korowody;
ten ponad nimi żal płaczących lutni,
bo prochom uroczyste sprawiano wywody,
i na ten krótki czas niechano kłótni
nad każdą z trumien, którą w imię zgody
wiedli na Wawel — ci złotem rozrzutni;
możni i biedni dobywali z kalet;
sztuka wdzięczyła zmarłych z krasnych palet.

A tacy byli skorzy, tak się rwali,
na ich ten grób, trumny weselą;
że jakby innych radości nie znali
tylko te, gdy cmentarze światłem ścielą;
w najświetniejsze się stroje przybierali;
miodem się, mlekiem, chlebem z trumną dzielą.
Smutni zawsze, — naraz pędsi, gospodarni,
Żywi! — tak piękni byli! a cmentarni.

I nazywali królami tych marnych,
kórzy się w własnym lubowali jęku:
co twarze przysłoniwszy w kirach czarnych,

Stawali przed narodem z harfą w rękę;
serca na stołach palili ofiarnych,
durząc się dymem przy harf rzewnym brzęku;
a chodząc w kołach z lauru drzew uszczekniętych
przyrównywali się do polskich świętych.

Wnętrznoci rozkrawali męczennika,
wróżyli z trzew o jutra przyszłej dobie,
badali loty ptaków, bieg ponika,
gwarzyli, że się Dziecięc zjawi w żłobie;
widzieli Go w postaci ogrodnika
że wstał, choć zbrojna straż przy Jego grobie.
— I żadne wróżby ich się nie spełniały
a we wróżbitów patrzył naród cały.

I przychodzący coraz nowi mężę
na obchodowe dzwoniłi nieszpory;
na ołtarzyskach święcili orężę —
a każdy z nich był jakby duchem chory;
widać, że wielkiej chwały nie dosięże;
że często ledwo sił zyska pozory; —
a kraj ich wszystkich słuchał, wszystkim wierzył,
— i z coraz głębszym smutkiem się przymierzył.

Strojeni w wiechy laurów poczerniałe,
we swoich prorocत्व zadumie owicie,
wstępowali jak posągi na skałę
a przez fałdziste szaty próchno święci;
pokazywali rany posiniąte,
że przez te rany Sławą są okryci
i że te rany własni bracia im zadali,
że się w poświęceń łzach i krwi kąpali.

Precz z tą pleśnią! Naród nie może być
wiecznie zapatrzony w próchno, które tak
strasznie wionie trupią grozą z witrażu
Wyspiańskiego „Kazimierz Wielki“. Nie
w grobowce, nie w przeszłość, lecz na-
przód, w przyszłość jasną, szczęśliwą,
w której „niczyich rąk nie zboczy krew“!
Ale do tej przyszłości wiedzie droga przez
bój, przez krew:

Chcę rzezi, żeby wszystko krwią spłynęło.
żeby się podłość Polski w niej obmyła,
by się zbliżyło k'nam spragnione dzieło,
na którym przyszłość narodu spoczęła;
by krwią i ogniem pożarów objęło
wszystko, co pamięć w przeszłości przekłęta;
i pokolenia szły pokoleniami,
już niepamiętne hańby, co nas plami. („Piast“).

Tę przeszłość narodową, którą chciał
zdruzgotać, ukochał jednak Wyspiański
całym sercem, wessał ją wszystkimi po-
rami swej artystycznej duszy, spłotła się
ona nierozzerwalnie z całym jego myśle-
niem i czuciem.

A jednak — jednak czuł i uświadamiał
sobie, że „to dawność tak z nami walczy“,
że zerwać trzeba z grobami, aby tworzyć
życie nowe. I dramat „Akropolis“ (w któ-

rym po raz trzeci zwołał na wiec i na sąd postaci, symbole i pojęcia ideologii romantycznej) zakończył symboliczną wizją: piorun uderza w Wawel, wcielający u Wyspiańskiego przeszłość narodową, drugo-cze trumnę św. Stanisława, owo palladium tradycji narodowej, a na ruinę wjeżdża na zwycięskim rydwanie tryumfujący Apollo, pogański bóg słońca i piękna:

Hej, pieśń skończona, pieśń Wawelu,
gdzie nieśmiertelna Sława.
Na zdruzgotany głaz kastelu
Bóg wpisał swoje prawa!

Prawo żywota! Prawo rozwoju!

Oto spuścizna idei, jaką nam Wyspiański po sobie pozostawia. Polskę współczesną, „tak, jak ją widzimy współcześnie dokoła“, wyzwolił on z kręgu wyobrażeń przestarzałych, fałszywych, bezpłodnych, dławiących jak upiory ducha teraźniejszości. I jak przez dwie trzecie wieku ubiegłego pokolenia polskie karmiły się wyłącznie spadkiem duchowym po dobie romantycznej, tak teraz długi szereg pokoleń karmić się będzie dziedzictwem duchowym Wyspiańskiego.

*

Wyspiański był talentem dramatycznym, jakiego Polska od czasu Słowackiego nie miała. Książka jego o Hamlecie Szekspira świadczy, jak głęboko on teatr w duszy swej przeżywał, jak scena zlewała się w jego umyśle z życiem. I dlatego stał się Wyspiański reformatorem teatru.

Wszystkie sztuki piękne zespalał Wyspiański w jedno: w teatr. Malarstwo, rzeźba, architektura, muzyka, poezja — związane razem miały ożyć wspólnym życiem na scenie. Jak wcześniej już uświadomił sobie Wyspiański tę swą ideę artystyczną, świadczy dramat jego „Daniel“, napisany jeszcze w r. 1893, a ogłoszony dopiero po jego śmierci, w którym muzyka i balet i malarstwo dekoracyjne i czar słowa i potężna idea polityczna miały się łączyć w jeden żywy obraz.

Oprócz trzech poematów, pisanych oktawą („Bolesław Śmiały“, „Kazimierz Wielki“ i „Piast“), oraz drobnych poezji lirycznych, wszystko tworzył Wyspiański w formie dramatycznej.

I tak nie wystarczyło mu epiczno-liryczne opracowanie jednego z tych tematów, które wybitną odgrywały rolę w jego

świecie ideowym: legendy o królu Bolesławie Śmiałym i świętym Stanisławie; opracował ją jeszcze w dwóch dramatach: „Bolesław Śmiały“ i „Skałka“.

Pierwiastek malarski, który wprowadził na scenę w „Warszawianie“, w „Weselu“, „Wyzwoleniu“, „Bolesławie Śmiałym“, w których dekoracje, kostiumy i sytuacje tworzą razem wspaniałe żywe obrazy, tkwi także we wszystkich innych jego dramatach, które jeszcze nie doczekały się wystawienia w teatrze. Czy to „Achilleis“, „Powrót Odyssa“, czy też jego tłumaczenie Voltaira lub „Cyda“ Corneilla — wszędzie widać, że Wyspiański patrzył na temat swój zawsze okiem dramaturga i malarza zarazem.

Dlatego to tak świetnie umiał inscenizować utwory swoje, jakoteż i cudze, jak np. „Dziady“ Mickiewicza, które opracował dla sceny.

W r. 1904 starał się Wyspiański o dyrekcję teatru miejskiego w Krakowie, ale Rada miejska bała się „eksperymentów“ nowatora i nie oddała mu teatru. Natomiast inteligencja krakowska wybrała go

w roku następnym prawie jednogłośnie do Rady miejskiej. Wprawdzie rozwijająca się choroba rycho przerwała jego działalność w Radzie miejskiej; ale przez krótki okres swego udziału w pracach Rady zaznaczył się Wyspiański projektem stworzenia komisji budowlano-artystycznej dla utrzymania i rozwijania estetycznego charakteru architektury Krakowa. Projekt ten filisterska większość Rady miejskiej gruntownie spaczyła.

Mimo długoletniej nieuleczalnej choroby, która niszczyła jego ciało, paraliżując jego siły fizyczne, Wyspiański ani na chwilę nie ustawał w twórczości. W chorem ciele mieszkał duch potężny, który do ostatka nie osłabł, ni zamglił się, lecz pełen był twórczej siły i do ostatka prometejskie ognie słał na tę ziemię łez i mogił. Od dawna zawisło nad nim przeznaczenie, ale mimo trawiącej go choroby nie wypuszczał pióra z dłoni, nawet gdy pozostała władza jeszcze tylko w dwóch palcach lewej ręki.

Na kilka tygodni przed śmiercią wydał potężny dramat jednoaktowy „Sędziowie“, osnuty na tle naszych stosunków wiejskich. Przedstawia tu Wyspiański stosunek wzajemny chłopów i żydów, walkę, jaka się w różnych formach toczy między tymi dwoma elementami, i wskazuje na możliwość ich zbratania na stopniu wyższej kultury obustronnej, w dziedzinie ducha, gdzie materyjalne interesy nie obniżają istoty ludzkiej.

Im bardziej posuwała się choroba, tem bardziej gorączkowo pracował Wyspiański, aby jak największą część dzieła żywota swego jeszcze wykończyć. Pozostawił w rękopisie dramaty „Zygmunt August“ i „Juliusz II“, których fragmenty jeszcze za życia opublikował, oraz mnóstwo innych rzeczy niewykończonych, tudzież drobnych poezyj.

Smutne przecucie rychłego zgonu miało już oddawna. Jeszcze w lecie 1903 r. pisał do swego przyjaciela p. Leona Stępowskiego, artysty krakowskiego teatru:

Gdy przyjdzie mi ten świat porzucić,
na jakąś nutę będę nucić

melodyę zgonu mą wyprawną?
Rzuciłem przecież go już dawno...

Już dawno się przestałem smucić
o rzeczy miłe, mnie stracone.
Miałyby smutki jeszcze wrócić
kraść, co już dawno ukradzione?

Przecież już dawno się wyzyłem
marzeń o utraconym raj.
Żyję, by zwało się, że żyłem...
nad jakąś rzeką, w jakimś kraju...

Nad jakąś rzeką, w jakimś mieście.
gdzie ślubowałem ślub niewieście,
gdzie dom stworzyłem jej i sobie
z myślą o jednym wspólnym grobie.

A na tym grobie, wspólnym domie,
niechże mi wicher gałązki łomie,
gałązki zeschnę, zwiędłe, krucho
w jesienną, deszczną zawieruchę.

Taksamo będę słuchoł w grobie,
jak deszcz po świecie pluszcze sobie,
jak słuchoł deszczu za tą ścianą, —
i wiem, że się znów zbudzę rano.

Niechże mi rano słońce świeci,
niech świeci jasno, dobrze grzeje.
Na grób niech moje przyjdą dzieci
i niech się jedno z nich zaśmieje...

W parę dni później pisał do tegoż przyjaciela:

Niech nikt nad grobem mi nie płacze,
krom jednej mojej żony;
za nic mi wasze łzy sobacze
i żal ten wasz zmyślony!

Niech dzwon nad trumną mi nie kracze,
ni śpiewy wrzeszczą czyje;
niech deszcz na pogrzeb mój zapłacze
i wicher niech zawyje.

Niech, kto chce, grudę ziemi ciśnie,
aż kopiec mię przywali.
Nad kurhan słońce niechaj błysnie
i zeszlą glinę pali.

A kiedyś może, kiedyś jeszcze,
gdy mi się sprzykry leżeć,
rozburzę dom ten, gdzie się mieszczę,
i w słońce pocznę bieżać.

Gdy mnie ujrzycie takim lotem
ze postać mam już jasną,
to zawołajcie mnie z powrotem
tą mową moją własną.

Bym ją postuchał, tam do góry
gdy gwiazdą będę mijał, —
podejmę może po raz wtóry
ten trud, co mnie zabijał.

Zmarł w przeddzień rocznicy „nocy listopadowej“, w czwartek 28 listopada 1907 r. o godzinie 5 popołudniu w otoczeniu rodziny i przyjaciół w Domu zdrowia prof. Rutkowskiego w Krakowie. Przytomnym był do ostatniej chwili; tuż przed śmiercią dyktował jeszcze przyjacielowi swemu, archiwaryuszowi p. Adamowi Chmielowi inscenizację „Zygmunta Augusta“. Pozostał wdowę i czworo dzieci: trzech synów i córkę.

Pochowano go dnia 2 grudnia w grobie zasłużonych na Skalce.

Marzył Wyspiański o tem, żeby — ak mówi Krak w „Legendzie“ —

orłów szerokie skrzydła rozwinać,
orlich szpon ostrzem chwytać i szarpać.
na skały ranę unosząc śmiertelną,
wysoko, niedostępnie zginać.

I danem mu było tak żyć i tak zginać.
Ale chociaż pasmo jego żywota przecięło
przedwcześnie, w sile wieku, nieubłagane
przeznaczenie, chociaż ciało jego spoczęło



w zimnym grobowcu, duch jego żyje w dzie-
łach, które stworzył.

Żywie duch, żywie duch!

I żyć będzie długie czasy i wielkim głó-
sem wołać z jego dzieł do przyszłych po-
koleń:

Ktokolwiek żyjesz w polskiej ziemi
i smucisz się i czoła kryjesz,
z rękoma w krzyż załamaniem,
biedasz, — przybywaj tu — odżyjesz!

W Przestrzeń rzucimy wielkie słowa,
tragiczną je ubierzem maską.
Ktokolwiek wiesz, co znaczy polska mowa,
przybywaj tu — odżyjesz Słowa łaską!

A dziedzictwo po nim obejmą nie ci,
którzy skazani są na wymarcie, z których
najlepsi nie mogą nic więcej powiedzieć,
jak: „Spłyniem, inni po nas przyjdą“, lub:
„Mój ojciec był bohater, a my jesteśmy —
nic!“, lecz ci, którzy walczą o przyszłość.
Nie szlachta przeżyta, nie syta burżuazya
odczuje idee Wyspiańskiego, lecz wal-
cząca klasa robotnicza polska. „Dla serca
serce gotowo“. Sercem szczerze odczuje
ona w jego dziełach wielkie serce woj-
ownika ideałów przyszłości. Glinę mówią:

5, 20

„Spłyniem, inni po nas przyjdą“. Ci „inni“
to klasa robotnicza. Ona jedyna walczy
o jutro, o tę „wielką tajemnicę“, i ona to
dziś już mozolnie rozkuwa zawory bramy,
przez którą Konrad wybieży w świat, w na-
ród wołając:

Więzy rwij!

51424

Biblioteka Główna UMK



300050099921

Biblioteka Główna UMK



300050099921